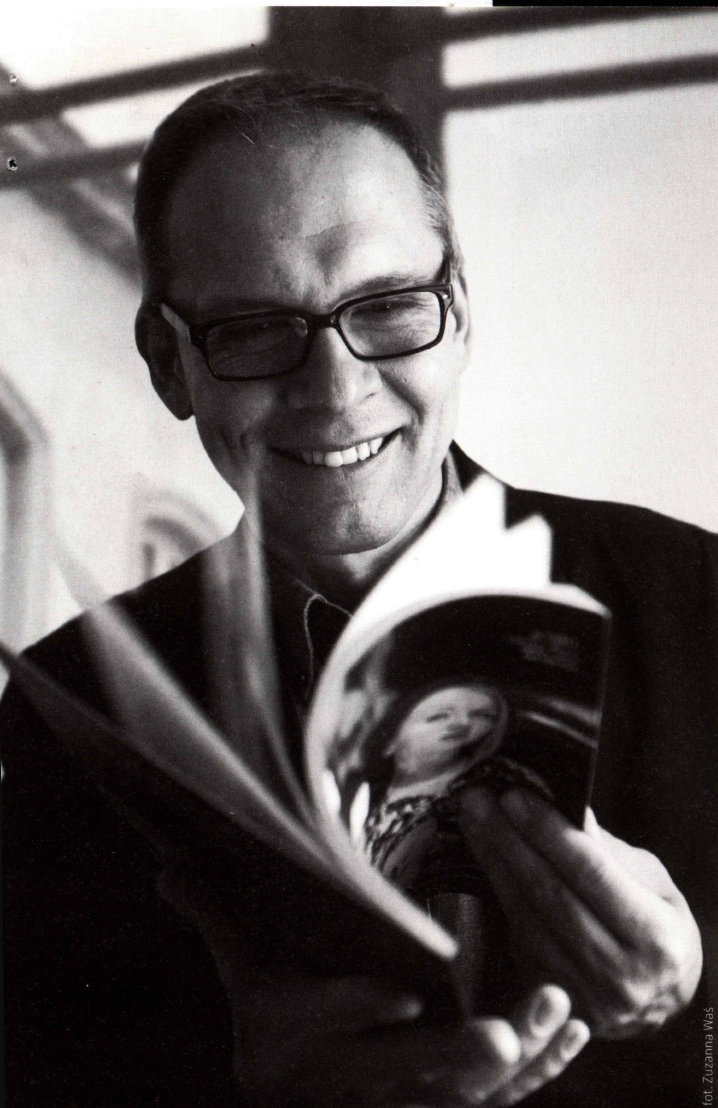




fot. Zuzanna Was

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KOPCIŃSKI

CELUJĘ KICHANIE

widok z Koziej

Jadąc pociągiem do Krakowa na premierę *Do Damaszku*, zająrzałem do sztuki Strindberga i z przerażeniem stwierdziłem, że ten rzadko wystawiany dramat o ludzkim piekle (w stacjach!) powstał w 1898 roku. A więc ma już sto piętnaście lat – pomyślałem – ile trzeba mieć odwagi, żeby go dziś zainscenizować? Wiedziałem jednak, że Jan Kłata znajdzie sposób na historię Nieznajomego. Znajdzie i uczyni ją znośną.

U Strindberga w pierwszej scenie Nieznajomy stoi na ulicy i czeka na otwarcie poczty. Chce odebrać list, w którym spodziewa się znaleźć trochę pieniędzy. Stoi więc i spokojnie czeka, ale kiedy przychodzi Pani, od razu zaczyna się gorączkować: „Od czterdziestu lat na coś czekam. Zdaje mi się, że to, na co czekam, nazywa się szczęściem, a może to tylko koniec nieszczęścia”. Niezłe, co? Trudno się dziwić, że Pani już macha na taksówkę. Ale facet brnie dalej: „Jestem tu w obcym mieście, nie mam żadnych przyjaciół, a moi nieliczni znajomi wydają mi się zupełnie obcy, a nawet wrodoży”. Kobieta jeszcze się broni: „Wszędzie wrogowie; wszędzie samotny! Dlaczego odszedł pan od żony i dzieci?”, za chwilę jednak mięknie: „Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam człowieka, który od pierwszego spojrzenia wzruszałby mnie do łez...”. Ale kicz – choć to Strindberg!

Kiedy więc w spektaklu Nieznajomy wjechał na scenę szpanerskim rowerkiem z jednym kółkiem, bardziej odetchnąłem z ulgą – dawno nie widziałem większego kabotyna. U Strindberga Nieznajomy był oczywiście poetą. Wystarczy? Poetą i rewolucjonistą, pisał książki, które niejednemu i niejednej przewróciły w głowie. Dobrze chociaż, że smutny August ich nam nie zacytował, tylko szybko zabrał swojego bohatera z ulicy i zaprowadził do domu wariatów. U Kłaty poeta jest radykalnym muzykiem-performerem, co przyjąłem z radością, bo zamiast bredzić o buncie, szura ręką po podłodze i mruczy pod nosem ulubione kawałki. Pani patrzy na niego z politowaniem, bo wie, że to świr. Fajna jest ta Pani. Owszem, czasem zagląda do kościoła, ale nie na serio, mówi coś o losie, ale sama w to nie wierzy. Zagląda i mówi dla zabawy, i w końcu tak rozluźnia Nieznajomego, że ten zaczyna szczekać.

Tak, szczekać. U Strindberga Nieznajomy stale na coś czeka: stoi i czeka, siedzi i czeka, gryzmoli palcem na piasku i dalej czeka. Nieznośne jest to czekanie. A u Kłaty – szczeka. Dosłownie i donośnie, razem z Panią i osobno, na całe gardło i cały Stary Teatr. I nie jest to żaden symbol! Szczekanie, które wzięło się tu z gadania, to tylko spontaniczny dowcip zwany dziś sucharem, bez którego całe to senno-metafizyczne truchło Strindberga rozpadłoby się od nadmiaru patosu. Że sam pisarz groteskowo podwracał motyw snu Nieznajomego (co tak pociągało Witkacego), o to mniejsza. Zaśmiewałem się do łez na widok szczekającej pary i od razu mi się przypomniało, jak mój jeden kolega napisał kiedyś do dziewczyny esemesa i zamiast „całuję kochanie”, wysłał jej „całuję kichanie”. Ale była heca!